

AFF-ERA

news'25

38. AFF-Era Filmowa

21-23 listopada 2025

MENTOR



i UCZEŃ

Organizatorzy:



PAŁAC

Stowarzyszenie Przyjaciół Pałacu Młodzieży w Bydgoszczy

Współfinansowanie:



PÓLSKI
INSTYTUT
SZTUKI
FILMOWEJ



DLACZEGO MŁODZI PRZYJEŹDZAJĄ NA FESTIWAL DO BYDGOSZCZY?

Można tutaj poszerzyć horyzonty i poznać fajnych ludzi – mówią zgodnie uczestnicy AFF-Ery Filmowej w bydgoskim Pałacu Młodzieży.

Wojciech Gruszczyński chodzi do klasy maturalnej w XVI Liceum Ogólnokształcącym w Poznaniu. Na AFF-Erę Filmową do Bydgoszczy przyjechał po raz drugi. – Oglądam bardzo dużo filmów, interesuję się także dziennikarstwem. W jednej z tych dziedzin zamierzam kształcić się na studiach – mówi. – Bardzo podobało mi się przed rokiem. Poznałem nowych ludzi i doświadczyłem czegoś nowego. Był to pierwszy festiwal filmowy, na którym byłem.

Zofia Wierska z poznańskiego VI LO również jest tutaj drugi raz. – W zeszłym roku nasz nauczyciel polskiego zaproponował wyjazd do Bydgoszczy. Zaciekał mnie koncept całodniowego oglądania filmów na dużym ekranie. Zarówno w zeszłym roku, jak i teraz jest to dla mnie świetna okazja, aby poszerzyć znajomość kultury oraz rozwinąć swoje pasje na rozmaitych warsztatach.

To 38. edycja filmowego festiwalu w Pałacu Młodzieży. Jego głównym koordynatorem jest dr Dominik Wierski: Pierwszy raz układałem jego program jako student w 2006 roku – wspomina. Studiował wtedy filologię polską, później zrobił doktorat z kulturoznawstwa. A dwa lata po pierwszym doświadczeniu z AFF-Erą rozpoczął pracę w Pałacu Młodzieży. I tak jest do dziś. Opiekuje się także innymi inicjatywami filmowymi, choćby DKF-em.

Tuż przed i w czasie imprezy wręcz „wisi” na telefonie – tyle spraw jest do załatwienia. – Dzisiaj odetchnę z ulgą, gdy uczestnicy bez przeszkód ulokują się w internatach – wyznał nam w piątek (21 listopada).

Uczniów oraz ich opiekunów przyjechało aż 230. To rekordowa liczba, dlatego trzeba było zorganizować noclegi w dwóch internatach.



Tradycją jest, że w AFF-Erze bierze udział młodzież spoza Bydgoszczy. Tym razem z Wielkopolski – z poznańskich liceów i szkół w Wągrowcu.

Lena Rybakowska jest w trzeciej klasie VI LO w Poznaniu. Na AFF-Erę dotarła pierwszy raz. – Tak naprawdę to nie wiem, dlaczego nie pojechałam w zeszłym roku. Od zawsze interesuję się filmami, a w ostatnim czasie mam na nie szczególną fazę – opowiada. – Lubię eventy społeczno-naukowe, szczególnie związane ze szkołą. Jest to dobry pretekst, aby poznać ludzi o podobnych zainteresowaniach.

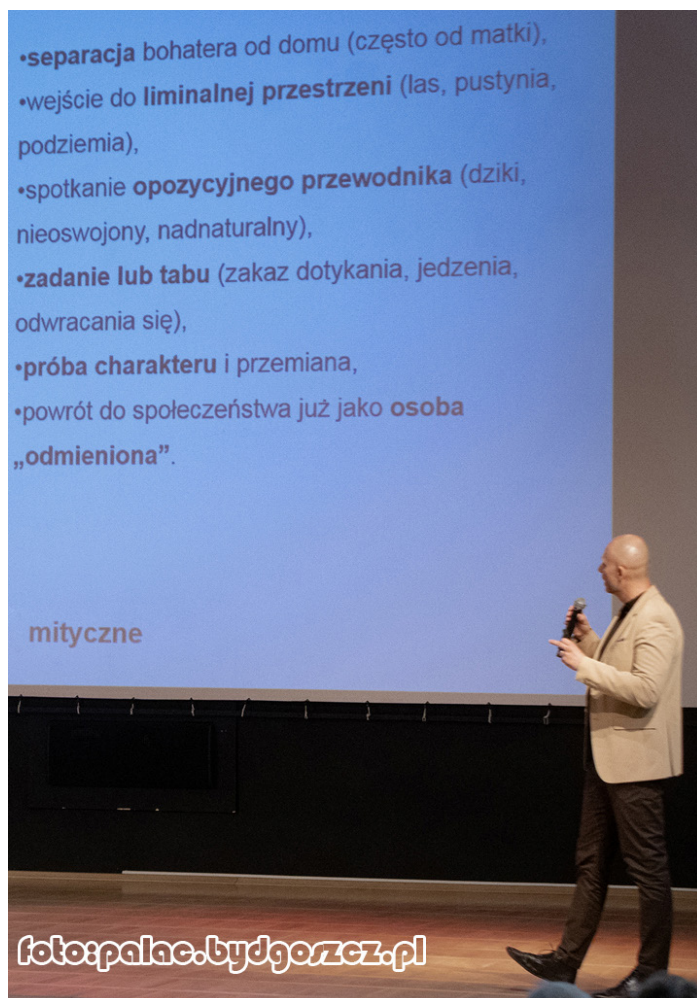
Początek festiwalu zbiegł się z inauguracją Bydgoskiego Jarmarku Świątecznego. Niektórzy z przyjezdnych zdążyli się na niego wybrać. – Fajnie, choć tłoczno – ocenia Antonina Wróblewska z VI LO w Poznaniu. – Ale chruściki, które jadłyśmy, pyszne! – dodaje jej szkolna koleżanka Marta Brudło.



Hasło tegorocznej edycji AFF-Ery brzmi „Mentor i uczeń”. - Moim mentorem nazwałabym Mistrza Wu oraz Morro z „Lego Ninjago”. Drugi z nich wypowiedział bardzo ważne dla mnie słowa: „Nie da się uratować kogoś, kto nie chce być uratowanym” – zdradza Maja Giełda z XI LO w Poznaniu.

Podczas trzydniowej imprezy zaplanowano 10 seansów poprzedzonych prelekcjami, odbyło się także spotkanie z reżyserem Fadim Chakkourem. Część uczestników wzięła udział w warsztatach: filmowych, psychologicznych, muzycznych, dziennikarskich i teatralnych. - Chętnie chciałabym robić coś związanego z teatrem w przyszłości. Właśnie dlatego te warsztaty były dla mnie idealne – mówi uczestniczka tych ostatnich Dagmara Wojnowska.

Tekst powstał podczas warsztatów dziennikarskich w ramach 38. AFF-Ery Filmowej.



Redakcję gazety festiwalowej tworzyli:

Viktoriia Ocheretko i Julia Suszka z XVII LO w Poznaniu

Marta Brudło, Zofia Wierska i Antonina Wróblewska z VI LO w Poznaniu

Wojciech Gruszczyński i Eva Vonhausen z XVI LO w Poznaniu

Natalia Kaiser, Aleksandra Lewandowska i Viktoria Szulska z XI LO w Poznaniu

Krzysztof Cyganek i Martin Twardysko z Zespołu Szkół nr 2 w Wągrowcu

Korekta: Dorota Tomaszewska z Pałacu Młodzieży w Bydgoszczy

Skład: Katarzyna Charczuk z Pałacu Młodzieży w Bydgoszczy

Grafika na okładce: Zuzanna Kliniewska

Opiekun warsztatów dziennikarskich: Andrzej Tyczyno



TAJEMNICE FILMU „ZGRED”

Otwarta dyskusja z Fadim Chakkourem
była jedną z atrakcji 38. AFF-Ery Filmowej.

Reżyser szczerze opowiadał o kulisach powstawania debiutanckiego filmu.

To była niecodzienna sytuacja, w zasadzie niespotykana podczas wcześniejszych edycji bydgoskiego festiwalu. – Dawno temu gościł u nas Marek Koterski – wspomina Dominik Wierski, główny organizator AFF-Ery.

Z Fadim Chakkourem młodzi kinomani spotkali się późnym wieczorem pierwszego, intensywnego dnia, po zakończeniu piątkowych (21 listopada) projekcji. Wcześniej mogli obejrzeć jego debiutanckiego „Zgreda”. Był to dopiero drugi pokaz filmu zorganizowany przy pełnej sali. Twórca zdradził kulisy powstawania tego dzieła oraz wyjaśnił historie stojące za wieloma scenami, zdradził także, które zostały usunięte.

Chakkour wrócił pamięcią do początku tworzenia scenariusza. Wyznał, że temat relacji rodziców z dziećmi jest dla niego niezwykle ważny. Inspiracją dla stworzenia „Zgreda” okazała się jedna z najważniejszych scen z kultowego filmu Sama Mendesa „American beauty”. – Główny bohater, rozmawiając z Angelą, koleżanką jego córki, spytał, co u tej córki słychać. Zawsze bardzo wzrusza mnie ta scena, gdyż pokazuje, że dwie osoby mieszkające pod jednym dachem mogą być sobie zupełnie obce – opowiadał reżyser.

Uczestnikom spotkania wyznał, że niektórzy aktorzy nie byli profesjonalistami i - w duchu kina Seana Bakera - do grania zaangażował naturšczyków. Chodzi na przykład o widocznego w jednej z ostatnich scen męż-

czynę w koszuli w kratę, który został zwerbowany do filmu z przypadku, w czasie prowadzenia roweru w drodze do domu. - Scenę nagraliśmy chwilę później, gdy pan przyniósł dowód osobisty potrzebny do wypełnienia formalności – wspominał reżyser. Dodajmy, że koszula tego niezawodowego aktora, jak zauważyli niektórzy obecni na widowni - identyczna jak młodego ojca, nie miała żadnego ukrytego znaczenia i była zwykłym przypadkiem.

Z kolei szukając osób mogących zagrać ojca z synem w scenie, w której siedzą na ławce jako dwaj starcy, Fadi - jak zdradził młodym kinomanom – pojechał do domu seniora, gdzie czekało na niego wielu chętnych do pomocy. Wybrano dwóch, którzy następnego dnia zjawili się na planie filmowym.

Reżyser wyjawiał także tajemnicę wycofania podczas montażu sceny przedstawiającej dziewczyny spotkane podczas podróży autostopem głównego bohatera. Brały udział w specyficznej grze – miała wskazać, która z nich, czysto teoretycznie, najbardziej nadawałaby się na jego żonę. W filmie znajdziemy jednak fragment nawiązujący do usuniętej sceny - przedstawia bohatera po kolei z każdą z wcześniej poznanych dziewczyn.

*Viktoria Szulska, XI LO
w Poznaniu*

i Wojciech Gruszczyński, XVI LO w Poznaniu



CZŁOWIEK NIE POWINIEN BYĆ DOSKONAŁY

- Zdarzało się, że po seansie ludzie płakali. Wtedy człowiek sobie myśli: „Kurczę, to ma sens” – mówi Fadi Chakkour, z którym rozmawiamy tuż po dyskusji na temat jego fabularnego debiutu „Zgred”.

Viktorii Ocheretko: Czy jest w filmie „Zgred” taki szczegół, którego widz raczej nie zauważy, a dla Pana jest on bardzo ważny?



Fot. Julia Suszka

Fadi Chakkour: No wiesz, umowa jest taka, czy wyłąpał scenę z kamyczkiem.

A oprócz sceny z kamyczkiem?

- Kiedy młody oddaje pieniądze facetowi na rowerze. Wydaje mi się, że to się o tyle spina, że on przechodzi taką „podróż w czasie”, poznaje swojego ojca i nawet jak ma tak zwaną „kosę” z ojcem, to wygląda na to, że ten ojciec go jednak dobrze wychował. To była dla mnie ważna scena. Dla jasności - była tam prawdziwa kasa, a nie rekwizyty. - Było tam chyba osiem tysięcy złotych.

Dla kogo i po co powstał ten film?

- Dobrze pytanie. W pierwszej kolejności zrobiłem go dla siebie - zawsze marzyłem, żeby zrobić film. A z drugiej strony, gdy się zastanawiałem: po cholere ja robię filmy?, czy chcę robić filmy? - to uświadomiłem sobie, że mam potrzebę opowiadania, dzielenia się emocjami i ich wywoływania. Uczestniczyłem w wielu pokazach kameralnych dla dwóch, trzech osób i zdarzało się, że ludzie tam na serio płakali. Wtedy człowiek sobie myśli:

„Kurczę, to ma sens”. Jeśli w rzeczywistości, która gna, możemy zatrzymać się na półtorej godziny i przez moment przemyśleć jakieś relacje, to jest OK.

Kto jest Pana mentorem i dlaczego?

- Nie miałem mentora. Chociaż byłem i jestem zafascynowany X liczbą postaci. Człowiek w ogóle nie powinien być doskonały. Jest w nim umiejętność poznawania i mnóstwo interesujących rzeczy wynikających z jego splatania, zagubienia. I to jest piękne. Bronię się przed tym mentorem i to pcha mnie w stronę doskonałości. Wydaje mi się, że kluczem jest tu umiejętność poznawania i odczytywania emocji.

*Rozmawiała Viktorii Ocheretko,
XVII LO w Poznaniu*



Fot. Julia Suszka

MAM SWOJEGO MENTORA

Program festiwalu dopasuję tak, żeby był różnorodny i ciekawy, żeby naświetlił temat z kilku stron – mówi dr Dominik Wierski, organizator AFF-Ery Filmowej w Bydgoszczy.

Marta Brudło: W tym roku na festiwal filmowy w bydgoskim Pałacu Młodzieży przyjechała rekordowa liczba uczestników. Stąd pierwsze pytanie: jak wygląda organizacja takiego wydarzenia?

Dr Dominik Wierski: Zgadza się, już w poprzednich latach co roku przyjeżdżało bardzo dużo osób, ostatnio około 190, teraz prawie 230. Wiązało się to z kilkoma dodatkowymi wyzwaniami. Trzeba było trochę zmienić porządek dnia, noclegów, a także rozplanować miejsca na sali tak, żeby mieć pewność, że wszyscy spokojnie i wygodnie usiądą.

Ile czasu zajmuje organizacja takiego wydarzenia jak AFF-Era?

- Jest to proces dość długotrwały, który tak naprawdę rozpoczyna się po zakończeniu poprzedzającej edycji. Przygotowuje się wówczas wnioski o dofinansowanie z Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej oraz Bydgoskich Grantów Oświatowych. Rok wcześniej trzeba mieć już jakiś pomysł, który można potem rozwijać, modyfikować i urozmaicać. Ważną sprawą jest również ułożenie programu filmów, ponieważ trzeba pozyskać kopie do wyświetlenia i przestrzegać zasad dystrybucji. Spokojniejszy czas nadchodzi wiosną, za to najintensywniejsze są oczywiście tygodnie poprzedzające AFF-Erę, kiedy trzeba np. przygotować koszulki czy ustalić wszystkie szczegóły z internatami.

Od ilu lat organizuje Pan AFF-Erę?

- Pierwszy raz przyłożyłem do niej rękę jeszcze jako student w 2006 roku. Przejęcie tej funkcji zaproponował mi prof. Piotr Zwierzchowski, który wcześniej zajmował się organizacją tego wydarzenia, ale z uwagi na dużą liczbę obowiązków musiał zrezygnować. Tamta edycja, która odbyła się w styczniu 2007 roku, dotyczyła kinematografii latynoamerykańskich. Profesor wiedział, że bardzo lubię historię piłki nożnej oraz Ameryki Południowej, więc miałem pewne rozeznanie w tym temacie, również w kwestii filmowej. Przez wiele edycji AFF-Erę współorganizowałem z Dominiką Kosińską.

Czym zajmuje się Pan poza organizacją AFF-Ery Filmowej?

- Na co dzień koordynuję projekcje filmów dla szkół, głównie dla dzieci z klas 1-3, ale też dla starszych odbiorców ze szkół podstawowych. Obok AFF-Ery, szczególnie ważnym elementem mojej pracy jest Dyskusyjny Klub Filmowy „Niespodzianka”.

Kto wymyśla hasło przewodnie AFF-Ery i dobiera do niego filmy?

- To się zmieniało na przestrzeni lat. Tegoroczne hasło „Mentor i uczeń” rok temu zaproponowała uczennica XVI LO w Poznaniu. Niekiedy wymyślałem je sam, niejako narzucając pewną wizję, ale często wsłuchuję się w propozycje uczestników – podczas imprezy

zostawiam karteczki, na których można napisać swoją sugestię. Program przygotowuję ja, dostosowując filmy do tematu oraz analizując aktualny repertuar i dostępność kopii filmowych, zwracam też uwagę na warunki finansowe. Program dopasuję tak, żeby był różnorodny i ciekawy, żeby naświetlił temat z kilku stron. Czasami go konsultuję, na przykład propozycje dotyczące filmu dokumentalnego z dr. Piotrem Pawłuszewskim.

To na zakończenie, nawiązując do hasła przewodniego: Czy ma Pan swojego mentora? Kto nim jest?

- Wcześniej wspomniany już prof. Zwierzchowski, który jest dla mnie niezwykle ważną osobą, wielokrotnym wsparciem i wzorem, jeśli chodzi o profesjonalizm i kreatywność. Niestety, w tym roku nie może uczestniczyć w AFF-Erze z powodu innych obowiązków. Mam nadzieję, że w przyszłym będzie już obecny. Jest to człowiek, któremu dużo zawdzięczam. Zawsze cieszę się, kiedy możemy razem współpracować, wciąż uczę się od niego wielu ważnych rzeczy, które przydają się w pracy i w życiu.

Rozmawiała Marta Brudło, VI LO w Poznaniu



Fot. K. Szewczyk

POTRZEBUJEMY MENTORÓW

Zapytaliśmy dorosłych zaangażowanych w organizację 38. AFF-Ery Filmowej oraz jej młodych uczestników, kto jest ich mentorem.

Krzysia Jagła z Pałacu Młodzieży, współorganizatorka AFF-Ery Filmowej

- Byłam uczestniczką warsztatów dziennikarskich w Pałacu, co później ułatwiło mi zdobycie tu pracy. Moim mentorem jest polonistka Krystyna Bujak – to ona zapoznała mnie z różną literaturą. Teraz razem pracujemy w Pałacu.

Mateusz Dąbrowski z Pałacu Młodzieży, kinooperator

- Moim mentorem jest dr Dominik Wierski. Pochodzę z umuzykalnionej rodziny. Od dziecka w domu obcowaliśmy z przeróżnymi instrumentami. Z tego też wzięła się pasja do kina i muzyki, co ostatecznie zaowocowało wykonywaną przeze mnie pracą.

Dr Piotr Pławuszczyński z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu, prelegent

- Nie jestem w stanie wskazać jednej osoby. Tak naprawdę w zależności, o czym myślę, mam wielu mentorów. Jak myślę o życiu codziennym, to na pewno takimi mentorami byli i są moi rodzice, jeśli myślę o życiu zawodowym, uniwersyteckim - na pewno był i jest to profesor Mikołaj Jazdon, który był promotorem mojej pracy magisterskiej i wprowadził mnie w świat kina dokumentalnego. Myślę też, że często takim mentorem jest dla mnie ktoś, kogo poznaję na ekranie kinowym. Oczywiście to nie jest ktoś, o kim myślę przez całe życie, ale na danym jego etapie wydaje się dla mnie ważny, bo na przykład historia, jaką oglądam na ekranie nagle okazuje się współgrać z historią, która dzieje się w moim życiu. Pomyślałem chociażby o tych filmach na tegorocznej AFF-Erze, które miałem szansę zapowiedzieć – „Dzieci z Favoriten” czy „Dziennik z podróży”. Są mistrzowie w swoim fachu, jak Tadeusz Rolke, albo tacy nauczyciele jak nauczycielka z „Dzieci z Favoriten”, czyli osoba o niezwyklej cierpliwości i wrażliwości na drugiego człowieka. W jakimś stopniu też są dla mnie mentorami. Podsumowując: wniosek jest taki, że potrzebuję mentorów. Myślę, że nigdy to się nie zmieni, niezależnie od wieku, ale jest ich wielu w zależności od tego, o czym w danym momencie myślę, co dzieje się w moim życiu.

Dr Marcin Jaukszy z UAM, prelegent

- Trudne pytanie. Ja lubię mentorów z zaskoku. Głosy, które zostają z człowiekiem, dla mnie nie muszą być powiązane z osobą, która jest z nami bardzo długo. Mógłbym tutaj dodać ciekawą narrację na temat tego jak „Stowarzyszenie umarłych poetów” było filmem, który w młodych latach wpłynął na moje postrzeganie wartościowości prowokacyjnych nauczycieli. I mógłbym tu wielu nauczycieli wymienić, bo i oni w moim życiu zaistnieli i to oni mnie popchnęli w stronę zainteresowań literaturoznawczych i filmoznawczych. Mojego tatę mógłbym tu wymienić, który mnie w niestosownie młodym wieku sadzał przed dużymi fajnymi filmami. Natomiast myślę sobie także o przypadkowym surferze, który mnie kiedyś w Szkocji podwoził i powiedział, że są trzy dobre powody, by być nauczycielem: czerwiec, lipiec i sierpień. I to też jest gdzieś w tym wszystkim w puli rad dawanych od mądrych ludzi istotny głos, więc to rozproszenie mentorstwa jest też czymś, co uznaję i wydaje mi się, że także ważne jest to, żeby wybranych mistrzów, którzy prowadzą nas na różnych etapach, umieć w pewnym momencie zostawić i porzucić.

Dr Marcin Kowalczyk z Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy, prelegent

- Kiedyś, jako że od trzydziestu lat zajmuję się sztukami walki, na pewno spotkałem kilku mistrzów, których mogę nazwać mentorami. Ta droga często łączy człowieka z takimi ludźmi, którzy nie dość, że są ekspertami w danej sztuce walki, to jeszcze mają wysoki zmysł moralny. Nie potrafiłbym wymienić jednej konkretnej osoby, bo czasem łączy się grupę ludzi w jedną osobę. Czy to jakiś nauczyciel, czy ktoś inny - tyle, że nie miałem kogoś takiego, bo wiadomo w filmach jest to zazwyczaj przedstawione modelowo. W narracji filmowej otrzymujemy postacie wyraziste, ale w życiu tak nie jest. Jeden z profesorów, na seminarium którego uczęszczałem, zainspirował mnie do tego, żeby samemu zacząć się zajmować nauką. Jego mądre warunki i sposób podejścia tak na mnie zadziałały, że sam chciałem to robić, ale z kolei prywatnie się w ogóle nie znał, znał się tylko na gruncie naukowym. Jednakże gdzieś indziej człowiek spotyka się jeszcze z innymi ludźmi, którzy popychają go w inne strony, bo człowiek nie jest jednowymiarowy.

Lena Rybakowska z VI LO w Poznaniu

- Trudno jest mi przypisać tę funkcję jednej osobie. Dla mnie to bardziej zbitka doświadczeń, które uzyskuje od innych ludzi. Może być to zarówno postać filmowa, członek rodziny lub moi przyjaciele.

Maja Dudczak z VI LO w Poznaniu

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Zazwyczaj nie czuję potrzeby posiadania mentora – kieruję się własnym sumieniem. Myślę, że kiedy ktokolwiek powie coś mądrego czy inspirującego, to zostaje to w mojej pamięci i wracam do tych słów, kiedy tego potrzebuję.

Maja Giełda z XI LO w Poznaniu

- Moim mentorem nazwałabym Mistrza Wu oraz Morro z „Lego Ninjago”. Drugi z nich wypowiedział bardzo ważne dla mnie słowa: „Nie da się uratować kogoś, kto nie chce być uratowanym”. Uważam ten serial za bardzo wartościowy i godny czerpania wiedzy.

Zofia Wierska, VI LO w Poznaniu, Natalia Kaiser, XI LO w Poznaniu, Eva Vonhausen, XVI LO w Poznaniu i Viktoriia Ocheretko, XVII LO w Poznaniu

WARSZTATY PSYCHOLOGICZNE, CZYLI ZROZUMIEĆ WŁASNE POTRZEBY - ROZMOWA Z GREĄ HARAŚ

Greta Haraś jest psycholożką dziecięcą i pedagożką, która poprowadziła warsztaty psychologiczne drugiego dnia festiwalu.

Na zajęciach omówiono zagadnienia związane z emocjami, uczestnicy dowiedzieli się też, jakie elementy są niezbędne, aby funkcjonować w sposób pozwalający zarówno na przetrwanie, jak i na utrzymanie dobrego samopoczucia. Poruszono kwestie wpływu emocji na codzienne decyzje, relacje z innymi oraz ogólne dobro psychiczne.

Mowa była również o piramidzie potrzeb, czyli modelu opisującym hierarchię ludzkich potrzeb od tych



najbardziej podstawowych, związanych z bezpieczeństwem i potrzebami fizjologicznymi, aż po potrzeby wyższego rzędu, takie jak rozwój czy samorealizacja. Wskazywano, że zrozumienie własnych potrzeb oraz ich kolejności pozwala lepiej interpretować reakcje emocjonalne i świadomie kształtować jakość życia.

Co doradziłaby Pani osobie poszukującej mentora, który będzie wspierający, a nie narzucał własną wizję?

- Za fundament uważam to, że trzeba zaufać swoim emocjom i uczuciom, które towarzyszą nam jako jeden z najważniejszych doradców. Bardzo ważna jest też szczerza rozmowa z taką osobą i wyznaczanie granic komfortu według tego, co czujemy.

W większości przypadków, z którymi spotykamy się w popkulturze, mentor kojarzy się jako ktoś starszy od bohatera, który jest jego uczniem. Ale czy musi tak być?

Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie ze względu na to, że, tak jak już wspomniano wcześniej, mentor kojarzy się z osobą, która jest starsza, a co za tym idzie - ma większe doświadczenie życiowe. Jednak z drugiej strony - każdy ma inne przeżycia, mogące prowadzić do zdobycia znaczącej wiedzy w jakimś konkretnym temacie, więc mentorem mogłaby zostać osoba młodsza lub rówieśnik.

Jaki, według psycholożki, zestaw cech powinien mieć idealny mentor?

Dla mnie najważniejsze są spokój, opanowanie i zrozumienie. Istotny jest też szeroko pojęty szacunek dla drugiej osoby i jej kompetencji oraz zaufanie i wiara w osobę, której jest się mentorem.

A jakie cechy powinna wykazywać osoba, która chciała by być idealnym uczniem?

Za bardzo istotną w tej kwestii uważam umiejętność słuchania ze zrozumieniem i umiejętnością przyjęcia perspektywy drugiej osoby. Potrzebny jest też szacunek do osoby, która przekazuje nam dane treści. Warto jednak pamiętać także o krytycyzmie względem takiego mentora, który, tak samo jak my, jest tylko człowiekiem i nie jest nieomylny.



foto: palaec.bydgoszcz.pl

*Natalia Kaiser i Aleksandra Lewandowska,
XI LO w Poznaniu*

WARSZTATY MUZYCZNE, czyli śpiewać rocka każdy może

Uczestnicy warsztatów wokalnych towarzyszących AFF-Erze Filmowej mieli okazję zmierzyć się w tym roku z utworem „We Can Work It Out” zespołu The Beatles.



Fot. Julia Suszka

Podczas zajęć wszyscy z pełnym zaangażowaniem śpiewali ten mniej znany utwór Beatlesów. Dźwięki muzyki niósł się już na korytarzu przed salą. – The Beatles to oczywisty wybór, chciałem jednak wybrać jakąś nieoczywistą piosenkę tego zespołu – wyjaśnia prowadzący warsztaty, Jarosław Pabijan.

Podczas spotkania uczestnicy dowiedzieli się wiele o historii muzyki rockowej. Prowadzący prezentował ciekawe przykłady, między innymi utwór „Kashmir” zespołu Led Zeppelin, który związany jest z kinem. Fragment tekstu tej piosenki pojawia się w filmie „Ocean’s Twelve”.

Pabijan w Pałacu Młodzieży prowadzi zarówno zajęcia fotograficzne, jak i wokalne. W poprzednich edycjach AFF-Ery odpowiadał za warsztaty fotograficzne, jednak podczas tej edycji zaproponowano mu nowe wyzwanie – poprowadzenie zajęć muzycznych. Z muzyką jest zresztą silnie związany, między innymi jako wokalista zespołu Any More. – W tym roku podczas trasy koncertowej oddajemy cześć zmarłemu w lipcu

Ozzy’emu Osbourne’owi – podkreśla.

Mentorem Jarosława Pabijana jest Marek Piekarczyk, wokalista legendarnego już zespołu TSA. – Wiele osób mówi mi, że śpiewam podobnie do niego – śmieje się. – Chyba każdy muzyk ma mentora. Jest nim gitarzysta, albo, jak w moim przypadku, wokalista – dodaje.

A jakie były wrażenia uczestników?

- Najbardziej podobało mi się ta część warsztatów, w której rozmawialiśmy o gatunku muzyki i przywoływaliśmy różne utwory – mówi Michalina Stefańska z Zespołu Szkół nr 2 w Wągrowcu.

- Interesuję się muzyką rockową, a sposób prowadzenia warsztatów sprawił, że naprawdę bardzo mi się podobały – dodaje jej szkolna koleżanka Michalina Zwolenkiewicz.

*Julia Suszka i Viktoriia Ocheretko,
XVII LO w Poznaniu*



Fot. Julia Suszka

WYRAŻANIE SIEBIE - WARSZTATY TEATRALNE

- Teatr to umiejętność wyrażania siebie oraz pozostawienie części siebie na scenie - mówi Jacek Małachowski, który podczas AFF-Ery poprowadził warsztaty teatralne.

Pojawiliśmy się na warsztatach w idealnym momencie – uczestnicy właśnie przygotowywali się do zaprezentowania efektów swojej pracy. Ich zadanie polegało na stworzeniu scenariusza do tematu: „Nie zawsze osoby, które wybieramy na mentorów, są dla nas odpowiednie i często postrzegamy je w fałszywym świetle”. Mimo narzuconej tezy, młodzi twórcy mieli pełną swobodę w interpretacji i sposobie przedstawienia tego zagadnienia.

Prezentacje były bardzo różnorodne - od scen inspirowanych codziennością po historie fantasy. Każda była unikatowa, a w wielu przypadkach znalazły się odniesienia do kultury bliskiej młodzieży, na przykład do filmu „Mean Girls”, co stanowiło miłą „puszczenie oczka” do widowni. W jednej z prezentacji uczestnicy sięgnęli nawet po motyw sekty.

Gdy uczestnicy zaprezentowali swoje scenki, prowadzący przeprowadził z nimi krótki wywiad i zachęcił do wspólnej dyskusji. Występujący z pełną otwartością przyjmowali zarówno pochwały, jak i konstruktywną krytykę.

Po zakończeniu warsztatów miałyśmy okazję porozmawiać z trzema uczestniczkami. - Należymy we trójkę do teatru amatorskiego w Wągrowcu. Byłyśmy na AFF-Erze dwa lata temu i w tym roku udało nam się wrócić. Naprawdę świetnie pracowało nam się z nowymi osobami. Warsztaty teatralne to wspaniała okazja, aby „wyżyć się” artystycznie - mówi Favia Marczyk.

- W przyszłości chciałabym robić coś związanego z teatrem. Właśnie dlatego te warsztaty były dla mnie idealne. Wykonywanie zadań teatralnych napełnia mnie dobrą energią - dodaje Dagmara Wojnowska.

- Na scenie czuję się świetnie - nie kryje Weronika Chabros.

Najważniejsze pytanie zadane podczas warsztatów: „Czy Wy jesteście zadowoleni?” podkreśla, że w pracy teatralnej najważniejsza jest własna satysfakcja z tego, co się robi.

*Antonina Wróblewska i Zofia Wierska,
VI LO w Poznaniu*



Fot. Antonina Wróblewska



Fot. Antonina Wróblewska

WARSZTATY FILMOWE, czyli kilka dubli do doskonałości.

Scenę z filmu „Stowarzyszenie Umarłych Poetów” odtworzyli uczestnicy warsztatów filmowych zorganizowanych w ramach 38. AFF-Ery Filmowej.

- Od kilku lat próbujemy nagrać jedną scenę z filmu prezentowanego na dużym ekranie festiwalu - opowiada Mariusz Marecki, opiekun filmowych warsztatów, który od kilku lat jest nauczycielem w Pałacu Młodzieży. I swoją wiedzę dzieli się także podczas AFF-Ery. - Jest to coroczne ważne zadanie. Uczestnicy zmagają się z formą reportażu filmowego. Mają też możliwość przetestowania pracy w małej ekipie filmowej, nagrywania wywiadów i zebranie wypowiedzi gości festiwalowych - wylicza.

Później prowadzący warsztaty omówił z uczestnikami elementy wizualne w odniesieniu do odtwarzanej sceny. - Musieliśmy rozpoznać, jaką ogniskową miał obiektyw, gdzie stała kamera, jak zbudowano oświetlenie oraz zastanowić się, jak nagrać dźwięk - wyjaśnia.

Młodzież została podzielona na dwie grupy - aktorską, która spisywała dialogi i ćwiczyła grę aktorską, a także filmową skupioną głównie na pracy kamery. - Dużym problemem scenograficznym okazał się stary telefon z okrągłą tarczą do wybierania numerów, którego poszukiwania trwały wiele dni. Przystąpiliśmy do nagrań, które połączyły w działaniu grupę filmową z aktorską i pokazały, jak trudną sztuką na planie filmowym jest organizacja pracy - mówi Mariusz Marecki.

Trzeba było wykonać kilka dubli, tyle, na ile pozwolił czas przeznaczony na nagrania. - Ale szybko minął - uczestnicy warsztatów ani się obejrżeli, a ich praca dobiegła końca.

Jej efekty jeszcze tego samego dnia, podczas podsumowania AFF-Ery w sali kinowej Pałacu, obejrzała cała festiwalowa publiczność. Doceniła dzieło brawami i aplauzem.

Zapytaliśmy Mareckiego, kogo nazwałby swoim mentorem. - Muszę wspomnieć o dwóch osobach. Nie są to filmowcy, ale profesorowie sztuk wizualnych z Łodzi - Andrzej Gieraga i Andrzej Marian Bartczak - odpowiada. I namawia kinomanów, by patrzyli na film „jako dzieło wizualne”.

Tym razem drugiego dnia imprezy kilkanaście osób zmierzyło się ze sceną, która rozgrywa się przy automacie telefonicznym w filmie „Stowarzyszenie Umarłych Poetów” w reżyserii Petera Weira. Mieli na to dwie godziny.

- Na początku spotkania zwróciłem uwagę na nieco inne nasze spojrzenie na film, a mianowicie od strony struktury wizualnej, która rzadko przedostaje się do tekstów opisujących dzieło filmowe i trudno usłyszeć o niej podczas rozmów festiwalowych - opowiada Marecki. - Osobą, która skupia się na walorach wizualnych filmu jest autor zdjęć, który w rozmowach z reżyserem ustala cechy budowanego obrazu filmowego. Jest to najczęściej absolwent uczelni artystycznej i znakomicie czuje się w tworzeniu elementów wizualnych, jak ruch kamery, kompozycja, oświetlenie i kolorystyka dzieła.



foto: palac.bydgoszcz.pl



CZY LECI Z NAMI PILOT?

Za każdym znaczącym człowiekiem i czynem stoi nauczyciel, mistrz, który nauczył go cennych rzeczy.

W wyświetlanym na tegorocznej AFF-Erze obrazie „Cinema Paradiso”, w reżyserii Giuseppe Tornatore, ujmując wiele rzeczy. To arcydzieło europejskiego kina, znakomity nostalgiczny komediodramat, który wciąż plasuje się na najwyższych miejscach w rankingach najlepszych filmów w historii i podbija serca następnymi pokoleń kinomanów. Dzieje się tak z wielu powodów, z których przede wszystkim należy wymienić znakomicie napisaną przezbawną i poruszającą historię o dojrzewaniu, ale i o zmianach w sposobie odbioru kina na przestrzeni lat. Opra-

błyskotliwość i inteligencję, Toto natomiast odnajduje w nim figurę ojca, który nie zdążył go wychować, gdyż umarł w walkach podczas II wojny światowej. Starszy pan okazuje się być osobą, która wpłynęła na jego życie najbardziej, nauczycielem, który go ukształtował.

Ponad 40 lat po premierze tego filmu zdaje się, że stoimy w epicentrum wielkiego kryzysu. Polaryzacja społeczna nieustannie postępuje, obawa przed wielką wojną, która położy kres istnieniu ludzkości, jest coraz bardziej wyraźna, na świecie natomiast zaczynają wygrywać



wiona jest wybitną ścieżką dźwiękową skomponowaną przez Ennio Morricone oraz świetnymi zdjęciami Blasco Giurato, które onieśmielają swoim pięknem.

Specjalne miejsce w moim sercu znajduje jednak wątek mistrza i ucznia, który okazuje się najważniejszym elementem „Cinema Paradiso”. Między Alfredo, operatorem tytułowego kina, i Toto tworzy się specjalna relacja. Salvatore jest chłopcem zafascynowanym kinem, Alfredo natomiast to starszy pan, mający najlepsze lata życia już za sobą, pozornie nie nadający się na mentora. Dostrzegają jednak w sobie coś, czego nie widzi w nich otoczenie. Kinooperator widzi w młodym chłopcu wielki talent,

skrajne ugrupowania polityczne. Niewątpliwie żyjemy też w czasach technologicznej rewolucji. Media społecznościowe są stałym elementem naszego życia, rozwój AI nieuchronnie się intensyfikuje, a uzależnienie od smartfonów stało się realnym problemem, szczególnie wśród młodzieży. W takich warunkach słuszne może zdawać się postawienie ponurej tezy, że czas mentorów przeminął, gdyż relacje międzyludzkie umierają. Zdaje się ona jednak nieprawdziwa, bowiem za każdym znaczącym człowiekiem i czynem stoi nauczyciel, mistrz, który nauczył go cennych rzeczy. Mentorzy wciąż istnieją i nic nie zwiastuje ich końca. Na dobre i na złe.

Wczoraj, czyli pakt z diabłem

Kryzys, o którym piszę, jest najpełniej widoczny w Stanach Zjednoczonych. USA są spolaryzowane jak być może nigdy wcześniej po czasach wojny secesyjnej. Po krytykowanej prezydenturze Joe Bidena wybory w 2024 roku wygrał Donald Trump – mistrz ciętej riposty, ofensywny politycznie. Głoszący populizmy kandydat imponował swoją śmiałością. Jego zwycięstwo nie było więc większym zaskoczeniem dla nikogo, mimo że jego pierwsza kadencja była powszechnie krytykowana. Demokraci wówczas zdawali się być symbolem kryzysu USA – upadającej potęgi, uosabianej z 80-letnim starszym panem, który rzekomo pod koniec swojej prezydentury miał mierzyć się z demencją. Amerykanie potrzebowali kogoś silnego, dlatego Kamala Harris przegrała. Władzę objął jednak wówczas człowiek-skandalista, zamieszany w liczne afery, a nawet skazany prawomocnym wyrokiem. Euforia po wygranej błyskawicznie jednak wyparowała, a Trump szybko stracił spore poparcie. Jego polityka, rok po wyborach, jest powszechnie uznawana za zbyt agresywną.

Film Aliego Abbassiego pod tytułem „Wybraniec”, opowiadający właśnie o Trumpie na długo przed wejściem w politykę, gdy wchodził do kin, mógł zdawać się ostrzeżeniem. Z dzisiejszej perspektywy, zdaje się być niemal satyrycznym, ale i ostrym jak brzytwa aktem oskarżenia, nie wobec Trumpa, ale całej instytucji państwowej, co ciekawe, nakręconym z perspektywy obcokrajowca.

Abbasi konfrontuje widzów z ważnym pytaniem – co wpłynęło na jego sukces? Odpowiedź nie jest oczywista, bowiem paradoksalnie najważniejszą rolę w życiu Trumpa odegrała nie jego ambicja, inteligencja, błyskotliwość, ale mentor, przyjaciel, który wziął go pod swoje skrzydła. Chodzi o jednego z najbardziej kontrowersyjnych amerykańskich urzędników, prawnika Roya Cohna. To dzięki niemu Trump wspiął się na szczyt. Cohn pokazał mu bowiem, jak przetrwać w okrutnym świecie biznesu. Reguły gry, które wyznacza ten prawnik, streszczają się w jednym frazeologizmie: „Jeśli wleczesz między wrony, musisz krakać jak one”.

Na początku filmu młody Donald zdaje się być ambitnym człowiekiem, który po prostu chce odnieść sukces, niekoniecznie krzywdząc innych, nie jest spaczonym moralnie człowiekiem. Gdy poznaje Cohna i staje się jego uczniem, wszystko stopniowo zaczyna się zmieniać.

Lubię myśleć o „Wybrańcu” jako o odpowiedzi na „Adwokata diabła”, niemal 30 lat po premierze. Taylor Hackford stworzył chrześcijański thriller, definiujący zło jako kuszące, piękne i pociągające. Ciągnięty w coraz bardziej czarne moralnie strony Kevin Lomax finalnie jednak je przewycięża, paradoksalnie – poprzez samobójstwo. Trumpowi ta sztuka się nie udaje.

Początkowo reżyser wodzi nas za nos, ukazując Cohna niemal jak Tony Gilroy ukazał Johna Milтона w scenariuszu do wspomnianego przeze mnie „Adwokata diabła”. To Trump jest tu ukazywany jako pozytywny bohater prowadzony w złe strony. Cohn nie waha się szantażować, jest zamieszany w korupcyjne afery, ma taśmy, które mogą zniszczyć życie najbardziej wpływowym osobom. Donaldowi nie podoba się to, ma moralne wątpliwości. Jest młodym romantykiem, który chce spełnić swój amerykański sen. Wkrótce musi skonfrontować się jednak z faktem, że ten jest dostępny tylko dla osób, które pozbędą się jakiegokolwiek moralnego kodeksu.

Po pierwszej połowie filmu, która opowiadała o ambicjach, druga wyznacza filmowi zupełnie inny ton. Cohn przestaje się już zdawać diabłem, zamiast tego w naszych oczach staje się groteskowo tragiczną postacią. Gdy droga do amerykańskiego snu Donalda Trumpa kończy się sukcesem, jego nauczyciel okazuje się być chory na AIDS – chorobę wzbudzającą ogromny strach wśród ówczesnych mieszkańców USA. Roy zostaje wtedy ukazany przed całym światem jako hipokryta – człowiek, który gardzi homoseksualizmem, a sam się nim okazuje. Moment, w którym odkrył to przyszły prezydent, staje się punktem zwrotnym ich całej relacji, później było między nimi tylko gorzej. Po diagnozie od Cohna odwraca się cały świat. Z trzęsącego Nowym Jorkiem urzędnika staje się ofiarą ludzi podobnych do niego, w tym samego Trumpa, człowieka którego wykreował. Ten odcina się całkowicie od dawnego mentora, zostawiając go w chwili, w której ten najbardziej go potrzebuje.

Szatanem w tej chwili już nie zdaje się Cohn – wbrew całej antypatii, którą do niego czujemy podczas seansu, zostaje postacią, której można współczuć. Tym diabłem staje się Trump. Nie tylko oddala się od Cohna, ale i zostawia w potrzebie swojego brata, staje się narkomanem, regularnie zdradza swoją żonę, a w pewnym momencie dopuszcza się gwałtu na niej. Jeśli na początku filmu wydaje się, że to Cohn jest mistrzem nieczystych zagrywek i niemoralnych czynów, Trump przebija go w drugiej połowie filmu setki razy oraz odnosi jeszcze większy sukces, nie zamierzając okazywać cienia wdzięczności Royowi. Nie przychodzi nawet na jego pogrzeb.

„Wybraniec” jest więc filmem, który zwraca uwagę na to, jak źli ludzie mogą tworzyć następne złe jednostki. Polityczną agresję Trump wyniósł od Cohna. To film ostrzegający przed złymi ludźmi stającymi się mentorami, bowiem ich uczniowie, pochłaniając spaczony moralnie nauki, mogą przebić swoich mistrzów.

Dzisiaj, czyli czas fałszywych proroków

Ari Aster, po nakręceniu wybitnych horrorów „Hereditary” i „Midsommar”, szybko został okrzyknięty mistrzem

kina grozy i jednym z najciekawszych filmowych głosów młodego pokolenia. Po swoich dwóch pierwszych działach reżyser obrał jednak inny tor i nakręcił surrealistyczny thriller psychologiczny „Bo się boi”, jedną z najbardziej polaryzujących produkcji 2023 roku. Zawierały się w niej elementy, które były przerażające, ale był to zupełnie inny obraz od tych z jego dotychczasowej filmografii. W tym roku wypuszczony został z kolei jego „Eddington”, film z gwiazdorską obsadą, który jednak z horrorem nie ma zbyt wiele wspólnego. Jest w nim jednak sporo przerażających elementów, związanych z dzisiejszą rzeczywistością i celnym oddaniem nastrojów w Ameryce, a może i nawet na całym świecie.

Akcja tego filmu dzieje się w tytułowym przygranicznym miasteczku podczas początków pandemii koronawirusa. Gdy urzędujący burmistrz Ted Garcia wprowadza lockdown, sprzeciwia się temu szeryf Joe Cross, startując w nadchodzących wyborach na stanowisko Garcii.

Aster nie opowiada się po żadnej ze stron konfliktu. Każdej z nich dostaje się po równo. Jego film jest ciętą satyrą z pesymistyczną konkluzją – USA jest w bardzo złym miejscu.

Garcia w tym scenariuszu staje się uosobieniem liberałów i ich polityków. Jest apatyczny, niesympatyczny, wyniosły, gardzi Crossem reprezentującym republikańską stronę.



Ten odwzajemnia tę pogardę, ale choć często może zdawać się komicznym bohaterem, ma swoje racje. Zadaje pytania o sens zamykania lokali w miasteczku, do którego pandemia nie dotarła, zakładania maseczek przez ludzi chorych (sam Joe choruje na astmę i nie może nosić maski) oraz wyraża frustrację z powodu bezowocnego rządzenia Garcii. Jego argumenty są jednak spychane zupełnie na bok i wyśmiewane przez burmistrza. Cały ich konflikt znajduje tragiczne rozwiązanie. Gdy Cross, skarżąc się na hałas, przychodzi zwrócić uwagę swojemu oponentowi, zostaje spoliczkowany przez Garcii. Ta scena staje się sprytną metaforą pogardy, którą jedna strona stara się obrzucać przeciwnej. W tym momencie w szeryfie coś pęka. Decyduje się na akt przemocy, mordując rywala oraz jego syna.

Ta dosyć przerysowana sytuacja kreowana przez Astera jest trafnym odbiciem polaryzacji w amerykańskim społeczeństwie. W „Eddington” to prawicowiec sięga po broń, ale w rzeczywistości często dzieją się rzeczy całkowicie odwrotne – niedawno zabity został Charlie Kirk, aktywista działający na rzecz ruchu MAGA.

Ta polaryzacja rodzi chaos, a chaos rodzi coś jeszcze groźniejszego niż spór między lewicą a prawicą. Reżyser ukazuje nam, że w takich okolicznościach tworzą się skrajnie niebezpieczne idee.

Czas pandemii nasycony był frustracją, na której fali rolę mentora zaczęli przejmować oszuści i fałszywi prorocy. Taką postacią staje się Vernon Jefferson Peak, który jest drapieżnikiem atakującym ludzi w chwili zwątpienia,



wsuwającym im do głów absurdalne teorie spiskowe, które w ustach przystojnego i charyzmatycznego lidera stają się wiarygodne. „Eddington” poruszył ten problem w sposób nowatorski, bowiem być może to pierwszy mainstreamowy amerykański film, który się skonfrontował z rosnącą popularnością wręcz głupich teorii spiskowych. Ich nośnikami stały się social media, a odbiorcami osoby słabe psychicznie. Docierają one do Louise, żony szeryfa, poprzez jej matkę, która balansuje pomiędzy znęcaniem się psychicznym nad jej mężem, nieustannie go poniżając. Wpaja im swoje własne wiadomości, pełne idiotycznych pseudonaukowych treści. Louise, ze względu na jej zaburzenia psychiczne wymagające odizolowania od społeczeństwa, staje się na nie podatna, gdyż Dawn, jej matka, jest jedyną jej bliską osobą, poza mężem, od którego zdaje się być oddalona (w pewnym momencie filmu, wprowadza się do Vernona). Jej postać staje się symbolem wszystkich skażonych fałszem osób.

Po morderstwie Teda Garcii film zamienia się w eksplozję przemocy. Przyjeżdżają skrajnie lewicowi aktywiści z Antify, podpalają miasteczko i mordują w akcie zemsty. Czy to symbolizuje początek nowej wojny domowej w Ameryce? Być może Aster wyraża w ten sposób swoją obawę przed wybuchem nastrojów społecznych, skutecznie coraz bardziej podjudzanych w kolejnych latach. W wyniku „wojny”, pośrednio dokonanej przez media społecznościowe i fałszywych mentorów i proroków, którymi stali się influencerzy, Joe Cross zostaje poważnie ranny. Choć uchodzi z życiem, z powodu obrażeń mózgu zostaje zupełnie ubezwłasnowolniony. Korzysta na tym Dawn, kobieta niebezpieczna, wyznawczyni fałszywych, wspomnianych już wyżej, teorii spiskowych. Władzę przejmuje osoba szerząca dezinformację, której strona tylko czekała na odpowiedni moment, by przejąć władzę. W tym sensie cały łańcuch przemocy przynosi koszarne skutki.

Jutro, czyli czas wojny i... nadziei?

W zachwycającym rozmachem współczesnym arcydziele Paula Thomasa Andersona „Jedna bitwa po drugiej” pewna wojna domowa zdaje się już trwać. Prawicowo-konserwatywna (a może i faszystowska) organizacja, której uosobieniem jest Steven Lockjaw, rządzi Stanami Zjednoczonymi. Powszechnie działa grupa rewolucyjna, choć znacznie bardziej rozbita niż 16 lat temu. Po aresztowaniu i złożonym donosie Perfidii Beverly Hills, dowódczyni grupy, dochodzi do masowych aresztowań i paniki wśród uczestników „rewolucji”. Pełni zapału, dopuszczający się aktów terroru, zostają rozbici. W podziemiach kwitnie przemyt imigrantów, zakonnice mają pełen arsenał broni, być może snując rewolucyjne plany, ale już nie ma mowy o obalaniu władzy i współpracy.

Jednym z niedobitków, po erze Perfidii, staje się Bob

Ferguson, żyjący na krańcu Ameryki ze swoją córką Willą, objęty paranoją narkoman i alkoholik, z którego młodzieńczego zapału zostały tylko tłumione marzenia o zmianie, snute podczas oglądania „Bitwy o Algier” przed ekranem telewizora. Gdy Lockjaw ich odnajduje i przyjeżdża do miasta, w celu porwania Willi i zabicia Boba, bohater musi przeprowadzić wyścig z czasem, odnajdując Willę, zanim pułkownik go uprzedzi.

W tym momencie bardzo pomaga mu Sensei Sergio, będący wyraźną parodią mentorów z azjatyckiego kina akcji. Motyw ten odgrywa w nich – szczególnie w filmach sportowych, opowiadających o sztukach walki – niezwykle znaczącą rolę. Sensei, grany przez Benicio Del Toro, przejmuje rolę mentora Boba. Nauczyciel sztuk walki pomaga mu bezinteresownie wyplątać się z trudnej sytuacji. Skrywa go podczas oblawy, a gdy Ferguson zostaje złapany, ratuje go razem z inną rewolucjonistką. Wreszcie, poświęca się dla niego, przejmując na siebie policyjny pościg, nie znając jego konsekwencji (całe szczęście, udaje mu się skutecznie odpędzić go od siebie). W tak trudnej sytuacji to on jest mistrzem Boba, który pomaga mu poradzić sobie ze strachem. W efekcie, Willa zostaje znaleziona, a film kończy się happy endem.

Nie jest za późno

Dlaczego odniosłem się do „Jednej bitwy po drugiej”? Bowiem amerykańskie kino często wyraża ostatnimi czasy lęki przed rozbiciem, wojną, polaryzacją. W tym kontekście dzieło Andersona jest czymś wyjątkowym, ponieważ wysuwa pozytywne wnioski. Film kończy się uratowaniem córki Boba, ta po nabytych doświadczeniach zaczyna angażować się w działalność polityczną, która może pozwoli jej ocalić Amerykę przed samozagładą. A sam Bob? Zostaje uwolniony od strachu i nauczony miłości do córki. Można powiedzieć, że to Sensei wskazał mu drogę.

Choć Hollywood jest pełne obaw, to finalnie kryzys wcale nie musi się pogłębiać. Nie jest to łatwe. Wymaga pracy, ale też walki z fałszem i dezinformacją, nie poprzez przemoc, ale prawdę i niepozwalanie, by osoby tak niemoralne jak Cohn, siejące dezinformację jak Dawn czy agresywne jak Perfidia nie wpływały na nikogo.

W ten sposób, możemy powstrzymać kryzysowy moment. Dlatego właściwi mentorzy stali się ważniejsi niż kiedykolwiek i tylko oni mogą pomóc. I nie możemy się bać. Bo wolność objawia się brakiem strachu. Tak jak u Toma Cruise’a, cytując Senseia.

Wojciech Gruszczyński, XVI LO w Poznaniu

ACH, CO TO BYŁ ZA FILM

Zapytaliśmy uczestników 38. AFF-Ery Filmowej o ich wrażenia po seansach.
Oto krótkie recenzje wszystkich wyświetlonych filmów.



„ŻYCIE CHUCKA”, REŻ. MIKE FLANAGAN

Mateusz Szymkowiak, uczeń I LO w Wągrowcu:

- To film, który próbuje przedstawić życiorys pewnego bohatera niechronologicznie, od końca jego życia do dzieciństwa. I to mu się udaje. Jednak niejednoznaczne zakończenie i sposób pisania dialogów sprawiają, że nie jest to film wybitny, ale zwyczajnie dobry. Jest okej, ale bez szału.

Jakub Szlendak, uczeń XVI LO w Poznaniu:

- Po rewatchu ocena mi zleciała lekko w dół. Podobała mi się konstrukcja narracyjna tego filmu (opowiadanie od tyłu), sprawiła, że film jest ciekawy. Natomiast nie wyróżnia się niczym i raczej już nie będę do niego wracać.

„ZGRED”, REŻ. FADI CHAKKOUR

Marika Skrzyczak, uczennica XVII LO w Poznaniu:

- To film o relacji ojca z synem i o traumatycznych przeżyciach ojca. Moim zdaniem - bardzo chaotyczny, wiele scen było niezrozumiałych i niepotrzebnych.

Maja Brożek, uczennica XVII LO w Poznaniu:

- Bardzo chaotyczny. Rozumiem, co reżyser miał na myśli, ale wydaje mi się, że nie przedstawił tego w sposób, w jaki powinien to przekazać. Film tak średnio mi się podobał.

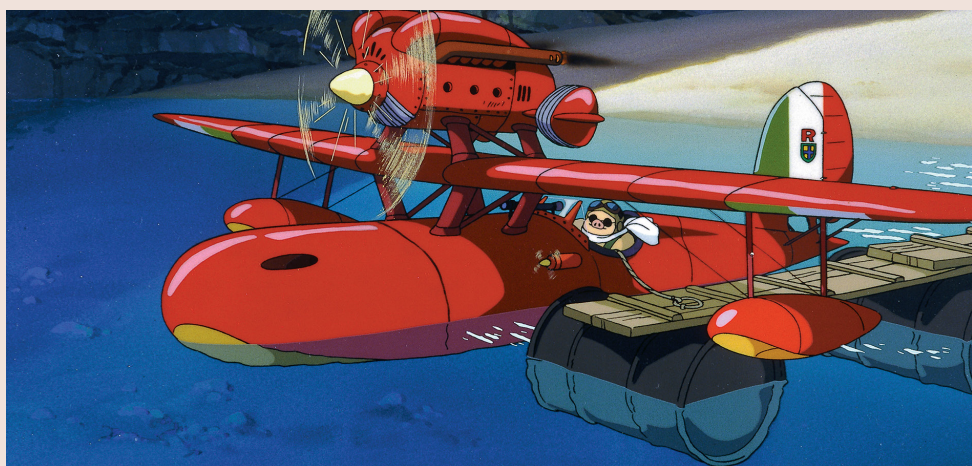
Anonimowa uczennica XI LO w Poznaniu:

- „Zgred” jest naprawdę ciekawym debiutem Chakkoura. Podziwiam reżysera za wybór na swój pierwszy film dosyć odważnej tematyki, jaką jest wpływ zaniedbań rodziców na późniejsze relacje z własnymi dziećmi i nawet z samym sobą. Powiem szczerze, że nie na tytułowym zgredzie skupiłam się najbardziej, a na podróży jego syna w celu odkrycia sensu i poznania przyczyn emocjonalnego dystansu własnego ojca. Sądzę, że film próbuje przekazać to, że warto rozmawiać o swoich problemach, nawet jeśli jest to bolesne, i dać sobie prawo do popełniania błędów.

„SZKARŁATNY PILOT”, REŻ. HAYAO MIYAZAKI

Tomasz Bieryłło, historyk w XVII LO w Poznaniu:

- Bardzo podobał mi się ten film, chyba przez niego zacznę oglądać mangę. Nigdy w życiu jej nie oglądałem, nie sądziłem, że nie musi być jakąś głupią, infantylną rozrywką, ale bardzo fajnym, głębokim przeżyciem, zabawnymi momentami, czerpiącego również z klasyki kina.



Kamil Piszczorowicz, uczeń XVII LO w Poznaniu:

- Jest to film bardzo infantylny, ale przy tym bardzo dobry. Ma piękną animację i fajną kreskę, jak na to, że ma ponad 30 lat. Historia jest ogólnie ciekawa, ale nie ma takiego jednego konkretnego czarnego charakteru, brakuje temu filmowi pazura. Według mnie jest to film dobry dla dzieci, ale nie do końca dla mnie.

„CINEMA PARADISO”, REŻ. GIUSEPPE TORNATORE

Renata Borowiak, polonistka w XVII LO w Poznaniu:

- Ja ten film bardzo lubię, widziałam go wiele razy. Sięga do czasów, w których kino jest trochę jak kościół, jest bardzo wspólnotowe. Całe miasteczko tam się gromadzi, dzieje się tam tysiące różnych spraw, poza samym oglądaniem filmu, ale też oglądanie jest takim jednoczącym czynnikiem. Kocham ten film też ze względu na Alfredo. Jest to moja ulubiona postać. Zwłaszcza scena na dworcu wypowiada kilka ważnych kwestii, dla mnie najważniejsze jest to zdanie: „Cokolwiek będziesz robił, kochaj to, jak kochałeś kabinę kina Paradiso”. Myślę, że to jest ważne, żeby w dzieciństwie mieć coś takiego, co się kocha i drugie - żeby zachować to przez całe życie. Ważne jest też to, co na dworcu mówi Alfredo do Salvatore: żeby jechał i nigdy nie wracał. I to brzmi tak właściwie jak taki bunt, że dlaczego ma nie wracać, dlaczego ma opuścić? On to bardzo ładnie tłumaczy: „Jeśli chcesz zachować to w sercu, to musisz się od tego odciąć. Jak wrócisz za rok, za dwa, to nie poznasz tego miasta, będzie ono obce, poczujesz, że już nie przynależysz do niego, a jak wrócisz za dekady, to odnajdziesz tam ducha tego, co minęło”. To najbardziej mnie wzrusza w tym filmie, że ktoś ma taką miłość do kogoś, że pozwala mu odejść, choć, jak dowiadujemy się później od pani Anny, pamiętał o Salvatore codziennie, kochał go bardzo, tęsknił za nim, a jednocześnie mówił: „Idź i szukaj siebie”.

„POKÓJ Z WIDOKIEM NA MORZE”, REŻ. JANUSZ ZAORSKI

Tomasz Bieryłto, historyk w XVII LO w Poznaniu: - W ogóle nie wiedziałem, że takie filmy były kręcone w latach 70. Spodobała mi się gra Gustawa Holoubka i Piotra Fronczewskiego, ale przede wszystkim postać profesora. To, że odżył, kiedy próbował uratować życie tamtemu człowiekowi, no i jego wiedza. Oprócz tego, że był tym profesorem i bezsprzecznie miał też największą wiedzę, on właściwie jako jedyny był przy tym normalnym człowiekiem, bo podszedł do tego mężczyzny jak bliźni. To było super. Reszta już nie chciała iść do pracy, reszta już chciała wyjść, miała dosyć, a jego uczeń odrobić lekcje. I on odrobił tę lekcję, przy okazji też pokazał się ze strony tego mentora. A w ogóle podobało mi się Trójmiasto z lat 70., niesamowicie było pokazane.

„UTRATA RÓWNOWAGI”, REŻ. KOREK BOJANOWSKI

Sabina Dolata, uczennica XVII LO w Poznaniu:

- Podobało mi się otwarte zakończenie tego filmu. Ostatnie zdanie głównej bohaterki właśnie mówiło, że autor „Makbeta” nie opisał, co stało się z Lady Makbet, a sam film kończy się, nie opisując, co się stało z Mają. To był strzał w dziesiątkę. Podobało mi się też, że postaci były przedstawione w bardzo realistyczny sposób, widać było, że nie napisał tego pierwszy lepszy dorosły, który myśli, że każda młoda osoba jest uzależniona od telefonu. Były przedstawione osoby, które jak każdy mają jakieś problemy i każdy próbuje je jakoś wyleczyć, i to było świetne.

„DZIENNIK Z PODRÓŻY”, REŻ. PIOTR STASIK

Wojciech Barc, uczeń VI LO w Poznaniu:

- Pomijając jasno wyznaczoną w filmie dynamikę mentor - uczeń, dokument uświadomił mi, jak odmienna była rzeczywistość polskiej prowincji ponad 10 lat temu, jak różniła się moda i poczucie estetyki, szczególnie ówczesnych młodych ludzi. Wrażliwość oraz pasja udokumentowanych artystów wydają się być zdolne połączyć ich, pomimo pochodzenia z różnych rzeczywistości, udowadniając jakoś tę uniwersalność i wartość sztuki.

Marta Brudło, uczennica VI LO w Poznaniu:

- Nie jestem fanką dokumentów, jednak ten wyjątkowo mi się podobał. Wyraźnie było widać relację mentor - uczeń. Film nie był estetycznie piękny, ale był dobrze nakręcony.

„DZIECI Z FAVORITEN”, REŻ. RUTH BECKERMANN

Zofia Wierska, uczennica VI LO w Poznaniu:

- Wzruszyła mnie bardzo więź między nauczycielką a jej klasą wychowawczą. Ten film przeniósł mnie do czasów mojej podstawówki oraz przypomniał mi o dzieciach, którymi obecnie się opiekuję. Nie jest to film, który ogląda się kilkanaście razy, ale zostanie na dłużej w mojej pamięci.

Stanisław Piaseczny, uczeń VI LO w Poznaniu: - Czułem się jak dyrektor na wizytacji, w złym tego słowa znaczeniu.

„STOWARZYSZENIE UMARŁYCH POETÓW”, REŻ. PETER WEIR

Wojciech Gruszczyński, XVI LO w Poznaniu:

- Miałem okazję obejrzeć ten film po raz pierwszy na AFF-Erze. Choć czekałem na niego wiedząc, że to będzie dobre kino, przerósł moje najśmielsze oczekiwania. To



jedno z amerykańskich arcydzieł w stylu „Skazanych na Shawshank” i „Lotu nad kukułczym gniazdem”, które zdecydowanie zasługuje na swój kulturowy status.

Viktoria Szulska, XI LO w Poznaniu: - Motyw egzystencji, sensu życia i funkcjonowania w społeczeństwie, który ostatnio szczególnie mnie zaciekawił, pojawił się w tym filmie, a jego przedstawienie wzbudziło we mnie głębokie współczucie dla głównego bohatera.

Natalia Kaiser, XI LO w Poznaniu:

- „Dead Poets Society” to poruszający film o niesamowitej sile niewypowiedzianych słów, odwadze bycia sobą i nauczycielu, który potrafi wnieść w młodych ludziach iskrę wolności. Wzrusza autentycznością, jednocześnie skłaniając do refleksji nad marzeniami.

F1, REŻ. JOSEPH KOSINSKI

Amelia Sierant, uczennica VI LO w Poznaniu:

- Film dla tych, którzy lubią facetów jeżdżących szybkimi autami. Chociaż ja akurat nie lubię ani facetów, ani szybkich aut, a i tak się świetnie bawiłam.

Emilia Gruszczyńska, uczennica XVII LO w Poznaniu:

- Bardzo mi się podobała ta niepewność podczas oglądania tego filmu, bo pod koniec w sumie trochę nie wiedziałam, co się dzieje. Była ogromna mieszanka emocji. Efekty dźwiękowe były świetne, ale chyba najbardziej mi zapadło w pamięć to, jak główny bohater zachował się podczas gry w pokera z Joshua, która toczyła się o pierwszeństwo podczas zawodów. Gdy mógł wygrać, zdecydował, że da szansę młodemu, ambitnemu debiutantowi na popisanie się i pokazanie na co go stać.

Notowali: Uczestnicy warsztatów dziennikarskich

